

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1184. *Życie nie jest warte trzech groszy* [hasło konkursowe] *Po drodze*. Dramat w 3 aktach [przesłany na konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego we Lwowie].

*STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE*

Львівська бібліотека АН УРСР  
ВІДДІЛ РУКОПИСІВ  
№ *Бав. 1184*

Львівська бібліотека  
АН УРСР

ВІДДІЛ РУКОПИСІВ

Бав. 1184

por. 54.  
Kowal. Dr. polski  
do dr. 339 r. p. l.

86795

I

86795

Dr. 131427/ob

Życie nie jest warte trzech groszy.

131427/ob

Po Indre.

Dramat w trzech aktach.



brak adresu

V 954  
1.184

So Drodze

Gramat w such aktach.

Osoby

Kostkewski : Dyrektor generalny na Rosje Towarzystwa, Corday, Brown i sp.  
v. Sanden - Dyrektor fabryki, Gwardiewo "tego" towarzystwa

Ponomarow

Krawcow

Lopuchin

Lwanow

Fieling

Kropiwnicki

Landau

Wentworth

Hase, monter

1. Kurnajomy

2. Kurnajomy

1. Robotnik

2. Robotnik

3. Robotnik

4. Robotnik

Postugacz szpitalny

Zwinnierowie i uszdnicy fabryki "Gwardiewo."

Postygiach binowoy  
Kozak  
Oficer Kozacki

Anna Kostkewska  
Pani Kostkewska  
Bogdanowa, felczerka  
Pani v. Landen.

Kozacy.

Przez dzieje się na poludniu Rosji w osadzie fabrycznej "Surozdewo"  
we Włodzimiu 1905 r.

## Akt I

(Ambulatorjum w szpitalu fabrycznym w Gwardewie. Bogdanowa zamyka drzwi, prowadząc na prawo, zamyka je na klucz ~~po czym~~ przechodzi do drzwi w głębi i otwiera je)

Bogdanowa: Tak, proszę już, wchodzić.

(Wchodzi dwóch Nieznajomych i czterech Robotników, wnoszących wózek z robotniczej)

1. Robotnik: A nie wróci?

Bogdanowa: Nie tak przędko, popiechaj na wrót do chorego. Niema wżecj nikogo w przedpokoju?

2. Robotnik: Nie, był urządnik po lekarstwo do żony, ale' odrzedł z aptekarem.

Bogdanowa: To dobrze, możemy mówić spokojnie.

1. Robotnik: A jak kto przyjdzie niespodzianie?

Bogdanowa (wskazując na 2<sup>go</sup> Nieznajomego): On dostał ataku, wyszł go przymieśli. Ale wiele czasu niema.

1. Nieznajomy: Powiedzieli mi w fabryce, że macie zamiar pracować, że przyjdziecie dziś do Aneciej zmiany.

1. Robotnik: No to co? Nie przysięgaliśmy, że nie przyjdziemy.

1. Nieznajomy: Ale przysiękliście (z naciskiem) niewolno Tamai' strójku. Fabryka stanie dziś przy Aneciej zmianie.

1. Robotnik: Aha! wam łatwo mówić, dziś był, jakto go niema, a my? Powiedziat Kostnewski, że fabrykę zamknę i paszporty odda, i koniec.

1. Nieznajomy: To was później przyjmie znouu.

1. Robotnik: Aha! ziemski nas napewno na miejsce zamieszkania wysła, on

Na nich, jak ojciec widony. Dobrze posmarować muszą.

3. Robotnik: Napewno wysła. Z Kurstkiej guberni jestem, zdaleka.

Z głodu na wsi zdykać przyjdzie, jak wysła. Jeszcze może drugi raz mi paszportu nie da. „Nie buntuj”, powiedzą.

1. Nierządny: Nie remkuj, fabryki, nie będą śmieci.

1. Robotnik: A to to prawda. Kostrewskiego nie znasz. Jak powie-  
driat, to skończono. Z Landenem dawał Tatwier. Wykryczy, wykryczy,  
matkę widony z tem słowem wspomni, może i w mordę da, ale się  
później jakoś ulituje. Ale Kostrewski, z nim jak nie, to nie.

2. Robotnik: Skąd wiesz? Z Landenem tylko raz mówiliś, kiedy ci go by  
sprat za to, że otęci kradł, a Kostrewskiego ktoś nawet na oczy nie wi-  
driat.

1. Robotnik: Ale Fielting jeszcze resztę roku mówi.

4. Robotnik: U Jura tyś po drugim strajku, fabrykę remknieł. Wyjściem  
w garście.

1. Nierządny (z pogardą) U Jura ... Jak się to tam wzięli do tego. I  
za pierwszym razem niewiele zyskali ... A wy symrasem.

2. Robotnik: Co prawda, to prawda, bardzo nam lon podnieśli. I pro-  
tego ... Tam dwa ruble na mieszkaniu dostają, choć dopiero rok pra-  
cują.

1. Nierządny: A wzięcie, źleście na naszych radach wyszli

1. Robotnik: Ale teraz możemy na nich ile wyjść.

2. Robotnik: Kto nie ryzykuje, ten nie ma. I za pierwszym razem  
przeciw strajkowi gadali.

1. Robotnik: Ja, nich mi przyjdzie zotem stanie, jeśli to prawda.

1. Nierządny: Cicho, do stu tysięcy djabłów! wlasnego słowa otworzył mi się  
szy. W warszawskich robotnicy wyjdzie dziś o piątej, a w fabrykacji przy-  
Anecyj zmianie.



4. Robotnik: Oni niewiele marnieją, nie czytają gazet, oni tylko aby 20 kopiejek więcej na dzień zarobić, ale ja wiem wszystko.

1. Nierazomny Przyjście dziś do mnie koto 6<sup>ty</sup>, pogadamy.

4. Robotnik: dobre.

1. Robotnik: My z fabrykacji i fak mamy 8 godzin pracy dzień, co nas to obchodzi, jak długo siedzę w warsztatach i przy robotach ziemnych.

1. Nierazomny (zinnno): A bardzo ci będzie przyjemnie, jak cię za robotę w fabryce pobiją. Ten jest więcej, jak was z fabrykacji.

1. Robotnik: Pobiją to pobiją (ptawluwie) dwa łaba na mieszkanie z ogniem i akatem — Teraz mam. Jak mię wygnają, to choiby nazad przyjeźli, mieszkania nie oddadzą. Dwa pokoje i kuchnia i ogień wrak duży. Cebule w nim sadzimy i kartofle, kwiaty nawet...

4. Robotnik: Dłuzszym, jaki mądry. Cebula i kartofle najważniejsze. Bardzo, bardzo ciemny świat, bez żadnej osiwiały. Nawet chłopci niechętny więcej wiedzą.

1. Nierazomny: Co tu długo gadać, postanowiliśmy strajk i kurta.

Zawraci tylko na tem zyskać więcej. Dne was fabryka, że przeszedł, a wy, jak głupie barany, obdieracie się dziećcie. Po sprawiedliwości całą fabryka powinna być wasza, bo praca wasza stoi. Ale kto się o sprawiedliwości pyta. Albo i to... Co Sander robi? Chodzi z kijkiem i patką, jak inni pracują, i za to więcej bierze pensji co miesiąc, niż trzydziestu robotników przez rok zarobi.

2. Robotnik: Zawraci dyrektor, musi więcej dostać.

1. Nierazomny: No to co? A może, mieć więcej dostać, ale nie tyle. Może wam dotrzyć, nie umrę z głodu przez to, a wam się przyda.

3. Robotnik: Oj, co prawda, to prawda! Bardzo nam ciężko. Trzydzieści lat w domu nie byłem i muszę po co wracać. Dwie trziesiątymy

mam. Co to znaczy! Gdyby mi dotarli, Coraby przyjechać mogła, albo by  
ziemi dokupił.

1. Kiernajomy (u n c e s p h w i e): Skońc wreszcie. (do w n y s t k u b) o d p o w i a  
Tacie za całą krecią zmianę.

2. Robotnik: Tak, chyba. Nie mógłbyś pomówić z innymi?

1. Kiernajomy: Trudno bardzo. Trzeba ich pojedynczo powytawiać, bo wresz-  
cie się Coracy wtóra i napędzają zaraz. Jak spotkacie którego, to powied-  
cie mu, żeby głupstwo nie robił. No, więc nie przyjdziecie do krecią  
zmiany?

Kasyca: Nie przyjdziemy.

1. Robotnik: A jak ja jednak mieszkanie stracę?

2. Robotnik: Ten mów ze swoim mieszkaniem. (W p y c h a j a g o z a d w i i  
w y c h o d e.)

2. Kiernajomy. Ukazywałem zawsze, że mieszkanie, złożone z czterech pokoi  
i wateklosetu (do B o g i a n o w e j) Pardon, wotociżgu, ogromnie dużo para-  
lizujące na energję w sprawach spotecznych. Przekonywam się teraz, że dwa  
pokoje bez urządzeń higienicznych mają ten sam skutek.

1. Kiernajomy. Teraz to umiesz robić ironiczne uwagi, a przedtem ust nie  
otworyłeś!

2. Kiernajomy. Nie potrafisz mówić z tymi ludźmi. Co chcesz, jestem tylko  
terminatorem, a ty majstrem.

1. Kiernajomy: Do niczego jesteś, mógłbyś z takim samym skutkiem  
mieć malowanego towarzysza.

2. Kiernajomy: Nie jestem tu na swoim miejscu.

1. Kiernajomy: A gdzie ty jesteś na swoim miejscu: w salo-  
nie przy bawieniu panienek, na zebraniu koleżeńskim, kiedy  
mówisz robić cyniczne uwagi.

2. Kiernajomy. Mylisz się, byłym na swoim miejscu przy busku

Ordreem tak, jak dawniej zasiadałbym <sup>do pracy</sup> wokoło cisa ... W pokoju pełno szaf z książkami.

- 1. Mernagomy: Pisałbyś pewno o rewolucji rosyjskiej.
- 2. Mernagomy: A żebyś wiedział, że tak, pisałbym o rewolucji rosyjskiej i stworzyłbym wielkopomne dzieło, wielkopomne, słyszysz. Trudno mi się chce, kiedy ~~ja~~ wielką rację pomysłową, że ja, który jestem może największym historykiem współczesnym, mam pomagać ci tłumaczyć głupich chłopów rosyjskich. Mogłbym być stawony między stawonymi, wielki między wielkimi, a zdecyduję jak pies od ogryzka lub kuli i ukopię cię w rowie przydrożnym głębiej niż pies. I dzieła mojego nigdy nie napiszesz.

Bogdanowa: Najwspanialsze dzieło nie waży jednego dnia, spędzonego na owocnej pracy dla narodu.

2. Mernagomy: Stupia jesteś z swojemi procesami, głupia, głupia. Dokąd idziemy z waszą owocną pracą nad narodem? Do anarchji!

1. Mernagomy: Straszny nas, anarchja ... Niech burczy sobie przy takim brzydkiem słowie uszy zatykają ... ale my. Będzie anarchja, bardzo dobre, później my już zrobimy porządek.

2. Mernagomy: Sądź, jak dziecko. Czy wiesz, co to anarchja w Rosji. 50 milionów ludzi wygnę, drugie 50 milionów padnie ofiarą epidemji, a reszta będzie się wtopiła między zgliszczami i ruinami, wycząc jak stado wilków z głodu i zimna. Obuduj państwo, kiedy się będzie jednego domu na całym obrzeżu Rosji, obuduj państwo, kiedy nie będzie ani jednego nieobłożanego w naszej ojczyźnie.

Bogdanowa O mój Boże!

1. Mernagomy: Coż za przesada dziecienna! A zresztą do krowej rewolucji nie ~~przejdzie~~ <sup>do</sup> przejdzie. Będziemy mieli konstytucję dziś, jutro.

2. Mernagomy: Oczywiście zgodzam się z Tobą. Witte jest teraz pierwszym

osobę, a on woli być premierem konstytucyjnym niż prezesem ministrów, więcej władzy i znaczenia. To wielki Tots! Co za zachwycający brak wszelkich przekonań politycznych. On rajdnie wysocho, choćby na szczyt szubienicy.

1. Nierozumny: No więc, jak będzie konstytucja, to się wszystko uspokoi.

2. Nierozumny: Bógostawieni ubodzy Duchem, albowiem ich jest kłóbstwo Niebieskie i wiek studeń na ziemi. My dawniej zgodziliśmy się na wywieszenie tylko republiki demokratycznej, obecnie zgodziliśmy się przyjąć wniosek socjal-rewolucjonistów o upaństwowienie socjalizacji ziemi. To tak łatwo później, nieprawda? I Kanaker konstytucja uspokoić i głodnych chłopów. (śmiej się ironicznie)

1. Nierozumny: Czego chcesz, jak kłó? Jeśli sobie zapragniesz, kłóć każdego woli, pisz drisko swoje, bez ciebie się obejdziemy. Dwieście zamiast ciebie jednego znajdziemy, co mówisz, trzydzieści, pięćdziesięciu, stu... ludzi z energią i wola, a nie takich marzaj jak ty.

2. Nierozumny: Marzaj! Noż. Dwie mam tego życia kluczonego rwienia, dosyć tych bersemych, nieparaliżowych noży... Spokoju, spokoju... kiedy przystaniesz do was, myślatem, że inaczej będzie... Ale teraz... wyzywam się ze smu i wdaje mi się, że widzę, jak powstaje wielka fala kłó, która zabawa nas wszystkich.

1. Nierozumny: No, nie martw się, jeniec dobrze będzie. I socjalizacja ziemi da się przeprowadzić. Inteligenja potępi się z narodem i wejdzie w moc zamiast prawa pisanego, prawo ludowe. Cytatem moje drisko w tej kwestji.

2. Nierozumny: Cytatem i uważam, że cię zawieszono postać na kłó. Coż mamy zbieranie materiału i agitacja, wobec wielkich, nieśmiertelnych głupstw, rawartych w tym utworze.

7  
1. Mernagony: Naturalnie, tylko ty jeden jesteś mądry, tylko ty jeden, co wiesz.

2. Mernagony: Dobrynerem jesteś, ciasnym dobrynerem, nie nie widział jasno, schemat, schemat, a ja.

Bogdanowa: Nie kłóćcie się, lepiej pomówimy o sprawach ważniejszych. Wogóle w jakim celu strajk tutaj?

1. Mernagony: Jak wszędzie... Walka ekonomiczna z kapitałem.

Bogdanowa: A polityczna z rządem?

2. Mernagony: Jenera nie, i na to czas przyjdzie

Bogdanowa: Powinności w każdym razie uswiadomić tubajskich robotników, że to nie tylko o podwyższenie ich płac idzie.

2. Mern: Paradna jest. A to po co? Wiek oni z tego rozumieją tutaj.

Byłoby kompletnie. Robotnicy w sirdkowych guberniach lub w Petersburgu, to rozumieją. Ale tu: car, pop i urządnik; Trójca święta.

Bogdanowa: Ale to będzie niemaszowie.

2. Mern: Bo też w polityce ten tylko jest maszowy, kto nic nie robi.

1. Mern: Znowu cyniczna uwaga. Poradziłbyś lepiej, co zrobić na wypadku zamknięcia fabryki. Musimy być pewni swoich ludzi, a to nie podmieście naszego kredytu.

Bogdanowa: Wiem napewno, że w razie strajku Kostnewski zamknie fabrykę. Mówiła mi o tem jego córka.

2. Mern: Znać wcale postąpić nie może. Musi bronić interesów swego towarzystwa.

1. Mern: Ciasny kapitalista! by Landen byłby skłonniejszy do ustępstw, szczególnie gdyby go nastawiano.

Bogdanowa: Nie wiem, nie znam go, ale bardzo być może.

1. Mern: W takim razie... Bogdanowa, moja miła, idź wbasz na korytano, czy tam nie ma (Bogdanowa wychodzi)

1. Miern: Kostrewski napewno zamknie fabrykę.

2. Miern: Skąd wiesz?

1. Miern: Mówiłem z nim.

2. Miern: Ty!

1. Miern: Jako delegat robotników, toruniec. Djabła ije, kto potna, że jestem clem imem.

2. Miern: No i, i... jestem jak na szpilkach.

1. Miern: Wyłem wszystkich argumentów możliwych, wspomniatem nawet coś o strajku politycznym.

2. Miern: (z pogardą) I utrzymujesz, że się nie poznat na tobie. Kawiory.

1. Miern: Cicho, mówięm głupio... Pytat się, kto mi w głowie przewrócił. Plecie się w takim wypadku tak po tak, rzucniem. Sander stat przy tem... On wydał mi się o wiele oktoniejszy do ustępatu. Widziatem, jak rładł, kiedy grwiem Kostrewskiemu.

2. Miern: Gwites! I to na jakiej zasadzie.

1. Miern: Mam wyrok w kieszeni

2. Miern: Co! w jaki sposób! Pucier mi takiego nie zasło.

1. Miern: Napisatem, że wydat delegatów.

2. Miern: To nieprawda! Dlaczego to zrobił?

1. Miern: Bo mię nudzą, że wszystkie ceregiele. Wydat, czy nie wydat delegatów, co mię to obchodzi... Wiem, że mi przeszkadza, wiem, że zamknie fabrykę w razie strajku, a ja nie chce, żeby fabrykę zamknęto. Kij djabet, nie robi się rewolucji w glansowanych reklamierkach. Loba wysz, jak waisey dyrektorzy na potudniu zmiękną, dadzą więcej niż sądzany, ogonami miedzi będą z wielkiego strachu. Jenne gdybyśmy mieli z ranymi właścicielami do wymienia... Ale tu w kraju to wanystw akcyjnych, gdzie sądzą dyrektorzy. Oho! nikt się nie da zabić, ha cudrych dywidend.

2. Kern: Twoje rozumowanie nie jest faktywne, ale...

1. Kern: Twoje ~~to~~ i sprawiedliwość Ci idzie. Pani, głupio! Zresztą sprowadzić koralów, to mnie wystarczy... Koral przedstawia zawsze nieograniczoną możliwość trupów i ran, a więc? Nie zastuga Kostkewskiego, że dotychczas było spokojnie, a nawet jak jego zastuga mógł sprowadzić inne wojsko... Powiesz, że mu najchętniej było o koralów. Dobrze, ale co to mię obchodzi. Mam wyrok w kieszeni i kwita, i zabijemy go, nim zdąży zamknąć fabrykę, to znaczy jeszcze przed wypowiedzeniem strajku.

2. Kern: Może się namyśli.

1. Kern: A ba! nie ustąpi... Wszyscy to mówią, zresztą i ja sam znam się na ludziach.... Nie widzę racji ukłonić, zawsze to Taturiej zarwie zamknąć fabryki, niż ja później otwieram.

2. Kern: Dobrze, wyrok, a wykonawca?

1. Kern: Znajdziemy na ochotnika między robotnikami, albo kasujemy losy ciągnąc.

2. Kern: Nie!

1. Kern: Nie? Oczywiście jeśli nie chcesz sam podjąć....

2. Kern: Ja, ja nigdy w życiu nie zabitem człowieka.

1. Kern: Ale z rewolwem strzelać umiesz i Browninga masz, a więc?

2. Kern: Nie, nie, nie.... Dlaczego ja, dlaczego ja?

1. Kern: Naturalnie, niewiele to ma sensu... Sprawa robotników, a nie nasza. Ochotników znajdziemy z Taturiej.

2. Kern: To nasza sprawa, nasza, nasza.... Karaszmy ich na gwałt, koralów, etap, i jemu koral...to.

1. Kernaj: Dla ich dobra.

2. Kernaj (uśmiech): Nie wiem.

1. Kernaj: Ale ja wiem... Ty może masz nieczyste sumienie, bo...

lini przedewszystkiem o wolnościach politycznych, leu ja, który chęć obalić  
mogę tylko na to, by miś swobodnie walczył z kapitałem w imieniu  
klasy robotniczej... Mam prawo żądać ofiar i od nich, kembandiej  
że ja sam.....

2. Mern: Powiniennem, powiniennem zabić Kostnewskiego, ale nie mogę,  
nie mogę, nie mogę....

1. Mern: Co z Twój ojciec, krewny gadaj?

2. Mern: Nie znam go wrak.

1. Mern: A więc

2. Mern: (gorztkowo): Rozum, żywy, prawdziwy ciotowiek, i ja podejż do  
niego i zabiję go. Przed chwilką żył, chodził, ruszał się, a później nic, trup  
nieruchomy przede mnie.

1. Mern: O... brak przywyżajenia... Nożem albo szabłą nigdy nie  
miałem być nieprzyjemnie, tak bezpośrednio, ale z rewolwerem.... Przystęgam  
ci, że to żadnego wrażenia nie robi.

2. Mern: Raz w życiu tylko byłem na polowaniu i nie mogłem zabić ce-  
gła, a ty chcesz, żebym ciotowika zabił.

1. Mern: Dlaczego wstępites do bojowej organizacji, ~~jeż~~ jeśli jestes  
taki delikatny.

2. Mern: Bo ja ich tak nienawidzę, że mógłbym ich zabić, nawet ja...  
Bo byłem w Strymin w pochodzie, i widziałem, i wiem, że nie  
ma sztytniejszego zadania, jak być namiędkiem kary na tych Tostwo...  
Bo ich nienawidzę za wyciekłą krew, przelaną przede nich... (uspokajając  
się.) Nie czuję żadnej nienawiści do pana Kostnewskiego.

1. Mern: Nie wstępujes do partji, żeby zatwierdzić swoje osobiste para-  
chunki... Naturalnie że przyjemniej nucić bombę w Bergjasa lub Trepostan  
niż zabić jakiegoś tam pana Kostnewskiego. Ale i to musi być zrobione  
Nie rozumiem wrentę słowich skrupatów: jeden burżuj mniej, jeden  
więcej, ważna rzecz.



2. Mern: Nie mogę, nie mogę.

1. Mern: Nikt cię przymusić nie będzie, uspokój się... Trzeba zebrać kilka  
co pewniejszych robotników.

2. Mern: Gdyby ty, albo żeby telegrafować po kogo....

1. Mern: Zważajcie! Sprowadzić jeszcze jednego, dla dwóch robo-  
ty niema (Zastanawia się) Nie, mój drogi, uzbij to sobie z głową.

2. Mern: Nie potrzeba jednego, tylny mięt....

1. Mern: Lądowca? a kto tu utryma porządek, jak mnie nie będzie,  
ty przecież jesteś do niego. Po śmierci Kozłowskiego zrobi się  
zamieszanie. (po chwili) Masz strajk mogą diabli wzięć! Oby zwróci-  
 uwagę nawet tych Durmów kufajnych. I dwa dni, niewiadomo co za dwa  
dni będzie.... Po co ty wstępować do partji, po co, po co? żeby nam kra-  
kai nad głową o końcu świata, żeby mądrasai skomplikowane kwestje  
wyników sumienia? Niech cię diabli werną.... Każdy inny na twojem  
miejsce! Ani do czynu, ani do partyjnej roboty! Dawi się panie  
w socjalizm,.... Pyszigam, że lepiej było zrobić, bawisz się z kokotami,  
mniej byłbyś skądinąd, już zgóry niktby cię za utowika nie uwa-  
zał.... Tu (przed siebie) Nie mogę, nie mogę. Tę miesiąc nad  
tym strajkiem pracowałem, i wszystko diabli werną przez tego nie-  
dotężę. Ale to ci przynękam. Kiedy wrócimy, to ja w tem, że cię  
z partji wypusz, choćbyś nas miał wystąpić rademungować (chodź  
wzbunony po polityce)

2. Mern (ze Tramii w oczach): Masz rajz, masz rajz, ale ja jednak nie  
mogę.

1. Mern. Co to za głupi sentymentalizm z twojej strony.... Nie uratu-  
jem przecież tego utowika, a partji wbieś kmdności. Stuchaj teraz,  
nie mam więcej czasu do stracenia: albo idź szukać orłotnika między  
robotnikami, albo ty.

chwila milosernia.

1. Merny: A wiec ja, zadowolony jestes'?

1. Mern: Pamietaj, zelys' sie w ostatniej chwili nie cofnajt, bo ze mnaj bediesz miat do ozywienia.

2. Mern: Nie... Teraz juz postanowitem... Trudno. Pojed do niego, jako Delegat robotnikow

1. Mern: No tak, lepiej byto na dworze, Takwicz uciec, mstawitbym pewnych ludzi.

2. Mern: Musze do niego podejsci blisko, inaczej nie trafie: mnie sie juz teraz rzece przesze.

1. Mern: Tak, a on chodzi zawsze z Kozakami. Sanden taka sam, ak nie mozemy przecie zabic' Sandena, dlatego ze Takwiejszy przystep do niego. Pojdiesz, jako delegat, ak czy us przyjmie? Hm, poradzimy sie Bogdanowej

2. Mern: Jakto!

1. Mern: Powiemy jej, ze chesz omowic kwestie ustępatw, coś takiego. (wola glosno) Bogdanowa!

(dzwri otwieraja sie, wchodzi Bogdanowa, za nija Anna Kostakowska. Jest to bardzo mloda dziewczyna lat moze osiemnastu, nestykanie wiotka. Elegancka jej zabona suknie zabywa wielka, narna pelenna z kapturnem, ktoreg podnas rozmowy z Bogdanowa, wjeimuje i ra ruca na porocz knesta)

Anna (tryumfujaco do Bogdanowej) Niema nikogo, co, niema nikogo! Okropnie nierozumie konspiracycie.

Bogdanowa. Macie bujna wyobrazenie. Dwoih znajomych robotnikow przyslo do mnie, to juz zaraz konspirujecie.

Anna: Rozumiem, jestem tutaj cotka dyrektora generalnego. Bogdanowe, czy wam nie wstyd wobec panow.

Bogdanowa: Co za upór! Precież bardzo dobre wiecie, że nie wystarczy zawsze mówić, chociaż ja osobiście ufam wam.

1. Mern: I my również ufamy pani. Przedstawcie nas, towarzysko.

Anna (bierze kołce sukni w packe i dygając głębiej) Jestem Anna, córka Jana, Kostkiewska. A co do waszych chwilowych narewisk, panowie, to nie jestem ciekawa. Będzie strój?

1. Mern: Tajemnica zawodowa. Ale pytanie na pytanie. Jak otóż je państwo tu zabawia?

Anna: Zależy to od mego gnia, a potem od panów.

1. Mern. W takim razie postaramy się, żeby jak najdłużej.

Anna (przekraczając głowę, z uśmieszkiem westchnieniem) O Panie!

1. Mern: Pani!

Bogdanowa: Precież oni flirtują z sobą, stwożę się!

2. Mern (przyglądając się Annie) Bardzo mi pani przypomina jednego z naszych petersburskich towarzyszy.

Anna (bez tekstu prawie): Miał bliźnię na policzku, włożył ciemniejszą od nich, z umiłowaniem cywilnych.

2. Mern: Tak.

Anna: To mój brat.

2. Mern: Bardzo go lubię. Słuchajcie jest kraj?

Anna (krywiąc usta): Nie wiem, nie wiem, nie wiem... Nigdzie.

Bogdanowa: Jaki?

Anna: Nie żyje! W Łodzi podnoszą walk ulicznych. Nie był w uniformie... nie mieliśmy ciała nawet. (Dwie trzy spytują po jej twarzy)

2. Mern (pokornie): Przepraszam panis.

1. Mern: Niekoniecznie martwych, nam żywym zmusza roztępa.

Anna: Mówić się, żeby więcej matek swoich dzieci płakato.

1. Mern: Z tem się kłócić nie można. Każda rewolucja wymaga krwi i ofiar

Anna: Byłabym tym bojownikiem za wolność, bo nienawidzę knur, nienawidzę cierpień ludzkich, bo żal mi każdego, kto umiera w kuracie więzienia, bo cierpię za występki i za występko... Bo dzień i noc myślę o krywdach, doznanym przez innych.

1. Kieru: Taka platoniana miłość bliźniego nie prowadzi do niczego... Liniato naprost. Pani życia ludzkiego żal, a rząd sprawdzi moje życie ludzkie? Kto krywdził więcej, my czy oni? Czy nie stojemy w obronie uciskanych i wyrzyskwanym?

2. Kieru: Czy nie karzemy morderców, którzy uieniężają i mordują lud?

Anna: Kier ci ludzie we własnym sumieniu znajdują swoją karę.

2. Kieru: We własnym sumieniu! Czy te stworzenia mają sumienie albo jakiegokolwiek inne uczucia ludzkie. Także, bijemy barkiej do ludzi są podobne, jak oni. Niema karj dsić wielkiej na nich. Co znaczy bomba lub kula rewolwerowa, a choiby rubienica wobec tyłu zbrodni, co oni z Rosją zrobili! Nawet gdyby ich spalono, nawet gdyby ich na pal wbito, żeby dzień całe konali, jako żywe ostrzeżenie dla występnych tyranów świata... I toby mało było! Jakże żałuję, że bajka jest ogień piekielny. Przysięgam, że wyniektym się zbawienia duszy własnej; by mógł przez całą wieczność napawać się ich mekami.

1. Kieru: Kier się pani nie boi. Straszny tylko, występko gość.

Anna: Ani na chwilkę nie wstępam o tem.

1. Kieru (do 2. Kieru): Panna Kostnewska zna się na ludziach, od razu cię przejrzała.

2. Kieru (chmurząc): Chciałbym pomówić z panem Kostnewskim. Czy rektie pani ustatwić mi...

Anna: Z całego serca... Dzikuję panu. Jakżebym się cieszyła, gdyby przez mnie došlo jakies porozumienie do skutku. Prawda, że się może uda strejk zażegnać.

2. Kern: Mów.

Anna: Boję się tego strajku! Ci Kosacy! Jemu komu bawudę robię.

1. Kern: To czemu ojciec pani Kosaków sprowadził.

Anna: Ziemiaki sam przysłał, mówił pan v. Landen. Nie można było się ich pozbyć, ale skoro tylko robotnicy się uspokoją (z wyjątkiem) słanego, słanego ten robotnik uderzył w głowę monterów.

1. Kern: Sam nie wiem. Przez przypadek, jak niekiedy w fabryce. Ludzie są jemu mniej obliczalni niż maszyny.

Anna: Mnie go bardzo żal. Gdyby to był naprawdę przynajmniej ktoś odpowiedzialny.

1. Kern: Naprawdę? (waha się) pan v. Landen.

2. Kern (rywając się, z gniewem) Milsa!

Anna (rumieniąc się, do 2. Nieznajomego) O, co pan mówi!

2. Kern (trochę zmieszany): Więc jak to będzie? Kiedy ma mój towarzysz przyjść do pana Koskewskiego. Bez interwencji pani go nie przyjmę. Idź robotnik do dyrektora generalnego!

Anna (do 1. Kern) Kiedy pan przyjdzie o śniegu do państwa v. Landen, albo do biura o śniegu. Bardzo dziękuję. Jestem pewna, że podsunie się pan z moim ojcem... On tylko wbił da robotników.

2. Kern: Wem, wiem, w Swobodzie są kapi od filantropji, sklepy spożywcze, szpital, szkoła, ogrody, ochronki, orkiestra. Wszak się do robotnika obrać nie można, tak mu dobrze. Bogu dzięki! przez chciwość i zawiść zawsze się jemu co da zrobić.

Anna: Tak nawet zastować niewolno.

Bogdanowa: Dajcie jej spokój, Koskewska wrzaje tylko szlachetne uczucia. Sentymentalna nadwyczerpanie! Uważa, że nawet policjantów i Kosaków zabijać nie należy.

Anna: To są ludzie i w dodatku ludzie bardzo nieczestliwi. Dopiero dziś mówią z jednym z nich.

2. Mern: I data mu pani pieniądze.

Anna: Skąd pan wie?

2. Mern: Nie tak trudno zgadnąć.

(Stychaj Gorostawkę fabrykę)

Anna: Mógł pójść do domu, czas na obiad. Kiedy pan przyjdzie o śnie-  
ciej, czy o siostry?

2. Mern: Nie przyjdę wcale, rozmyśliłem się.

Anna (rozszarowana) O!

1. Mern: Niech pani w każdym razie uprzedzi ojca. Jeden z nas przy-  
dzie z pewnością, albo wreszcie kto inny. Nie wiemy jeszcze kiedy.  
Gdyby pani zechciała się z nami porozumieć, to tutaj pani zawsze  
kogo zastanie, w najgorszym razie Bogdanowicz.

Anna: To dobre. Mnie tak bardzo zależy na tym, żeby wszystko się  
spokojnie skończyło.

(Zanurca pełenym i nasuwa kaptur na głowę)

1. Mern (śpiewa dużo deprella z III ego aktu, "Don Juan'a ") Si, si  
signori mascheri.

(Anna podchwytuje melodję, przechodzi w memeta, dyga głęboko  
i wychodzi, za nią, Bogdanowa.)

1. Mern: Co to znaczy? Wedługem, że na ciebie liczyć nie można, ale po ta-  
kich zapewnieniach! Powiesz na to, że bym stracił tyle czasu. Wtedy ty się  
w końcu... Gdyby nie ty, już dawno miałbym wykonawcę, a teraz... ~~muszę~~  
Też się przeskarżać nam w robocie, czy co... Najgorzy wrog tylko niechodź  
nie mów, co taki przyjaciel. Ale my i z takimi przyjaciółmi potrzebujemy  
sobie dać rady.

2. Mern: Nie cofam się, tylko se wygłędu na tę matę. Pomyśl...

1. Mern: Ty, oentymentalna historyczko! Naprawdę twierdzi się bydlę, poimiej boi  
się sprawić przykrość pamięci, w końcu... Stoisz sobie. Co jeszcze nowego

wymyślił? Z tej kancelaryi przeszkadza rybek u spódnicy. Ale masz  
wybór: ty albo jeden z robotników. Panna Anna i Koszkowski nie  
nie wystają na ramianie. Więc kto pójdzie?

2. Marn: Ja, kiedy tak być musi.

1. Marn: Żebyś był pewny, ale z tobą... o której?

2. Marn: O Ance, to krócej czekać. Jesteś radośny ze mnie?

1. Marn: Zobaczymy... No bez tremy. Nie bądź tak wesoły. Przy-  
sięgam, że ci to przyjdzie po występie. Wązy do góry, aturika, świat  
się jeszcze nie kończy.

Koniec aktu I

## Akt II

Biurowo fabryczne. Duży, widny pokój o dwóch oknach. Między oknami wisi portret Mikołaja II, w kątach skona. W głąbi i z prawej strony ściany drzwi. Na stole przy oknie wielka mapa Azji wschodniej. Umiebowanie składa się z jednej wielkiej rafy, biurka [w głąbi] i kilku krzesel. Przed mapą stoją Łopuchin i Swanow. Krawcow chodzi po pokoju, raziłkając piście.]

Krawcow: Taki pokój, taki hanbiący pokój! Całą noc spać nie mogłem, myśląc o nim.

Łopuchin: Co do mnie, byłem przygotowany na wszystko, kiedy dowiedziałem się, że to Witte wyjeżdża do Ameryki. Cudowne! Co jego Rosja i jej honor obchodzi. Dali mu Żydzi amerykańscy Tapirowe, to się zgodził na wszystko.

Swanow: Nie śmiały wsiść!

Łopuchin: Nie śmiały, a to ciekawe! Jemuś nie widział takiego, komuś brakło śmiałości wsiść, kiedy mu dają.

Swanow: Wzielibyście, co? Jakby się Landen dowiedział? A on, Tyj Djabel, ostre ma oczy. Wylecielibyście na Teb na syjś.

Łopuchin: [mrużąc oczy] 'E! i na niego sposób się znajdzie. Nie wrogie



nos swój wścibi.

Lwanow: Teraz, to się tylko przechwalać.

Krawcow: Gdybym był cesarzem, nigdybym takiego pokoju nie podpisał, nigdy... do ostatniej kropli krwi, do ostatniej kosuli wojnębym prowadził. Cała armija rwata się do boju, a tu nagle przez tych portych rewolucjonistów, przez tych obywateliwoch szkodliwych, którzy nie mają odwagi śmiało stanąć wrogowi, pokój! Żona od wiszraj ptance i ptance, wrake się uspokoić nie może. Ale nigdy nie będzie dobrze w Rosji, póki te przebrzydłe won'y będą rządziły. Pouczinai Niemców, do katorgi ich zestai.

Lopuchin: Czy tylko jedynych Niemców z Uwarum, ze Żydzi są gorsi i Polacy i Finlandczycy.

Krawcow: Tak, tak, wszyscy cudzoziemcy. Czego tu taż z Wszystko zte w Rosji, tylko rubel rossyjski dobry. Dyrane to neuy, żeby tutaj na ziemi rossyjskiej prawie wszyscy wyjści ungdnicy fabryczni byli cudzoziemcami.

Lwanow: No wy, Lopuchin, Ponomerow.

Krawcow: Ponomerow jest gorszy od cudzoziemca, to socjalista. A co do mnie i Lopuchina? Od pięciu lat nam penzi nie podurzi raz, chociaż każdy bezstronny świadek musi przysnać <sup>musi</sup> że to my wtaśiowie prowadzimy fabrykę. Genuse i podczas ostatniego strajku... Gdyby Landen nie był przyjęł i usłupit robotnikom, zupełnie inaczey sprawaly się zakonicyta. Sprawaditbym już wtedy Kozaków, przesepaliby totów ponądnie... Ale Landen za gorsz odwagi niema.

[Od kilku minut w otwartych drzwiach w głąbi stoi Kosknewski i Junge się od śmiechu, przystubuje się rozmowie.]

Lopuchin: Jestem ciekaw, na co robotnikom osmiogodzinny dzień roboty... Może tylko więcej czasu do bójek i pijaństwa.

[Dwaj na prawo otwierają się z Kraskiem, wbiega v. Landen]

v. Landen: Swanow, od godziny rękami was w fabryce, niepołącz na podwórku miasteczka, każda chwila pan Kostrewski nadzieję ma że.

Swanow: Mówiliśmy trochę o polityce.

v. Landen: Jeśli panowie chcą politykować w godzinach pracy, to radziłbym przejść na sturbę rządów. U nas trzeba pracować. Lopuchin, listy napisane?

Lopuchin: Jeszcze nie.

v. Landen: Dobre, mi je przynieść za godzinę, wrytynie muszą odejść do domu.

Kostrewski (wychodząc): Dzień dobry panom.

[Krawcow, Lopuchin, Swanow, Kłaniają się i wychodzą]

Kostrewski (do Landena): Trochę za ostro!

v. Landen: Ciężkością mi nie staje... Żeby to było w takiej warnej chwili, kiedy każda minuta może strajk wybuchnąć, gadano o głupostwach zamiast pilnować roboty! Nie mówię już o tym, że w zwykłych czasach pół dnia schodzą na mieleniu językiem.

Kostrewski: Nie rozumiem cię, Landen. Na twoim miejscu nie podniósłbym głosu nawet, tylko najspokojniej i najgłośniejszej w świecie wypunktować całe towarzystwo z fabryki. Nieżytki kompletne.

v. Landen: No nierupetnie! Swanow jest nawet bander, bander na miejscu, jako gospodarz fabryki.

Kostrewski: Ale Krawcowa mógłbyś wyrzucić od świętej pamięci

patniei spokojnie nie mogę na tego medożę.

v. Landen: Nie mogę go wyrzucić, ma osmioro dzieci i żadnego majątku.

Kortnewski: Takie powód! Fabryka nie jest zakładem dobrym.

Co miż jego osmioro dzieci obchodzi. Czy przyniemy się chci do jednego z nich.

v. Landen [śmiejąc się]: Bardzo wiesz, że nie [śmieje się] Krawcowa.

Kortnewski: Jestem ciekaw, kto mu kazał zaniechać swiat swoga potomstwem.

v. Landen: Krawcowa nie pniehadra w fabryce, nie mam żadnego powodu go odpać.

Kortnewski: Owszem pniehadra, bo zajmuje miejsce dziełniejszemu. Zrentę, kiedy uelie być na urlopie i Krawcowa niły to prowadził fabrykę... Zlituj się, pnieć musiałem co miesiąc przyjeżdżać do Petersburga i poprawiać głupstwa, które nerobit. A ostatni strajk z. Zam wywołat głupiem zachowaniem się. A przez? Szybyś miał podobnego wicedyrektora mógłbyś zaraz objąć moje stanowisko.

v. Landen: Wżc stanowisko ustępujesz?

Kortnewski: Zwartem się ke... ke, sit nie mam, co miesiąc prawie atak sercowy. I nimie się jekt. Swich spokojni należę.

Landen: Zamudrisz się bez zajcia. Pnieć wcale nie można nie nie wbić.

Kortnewski: Myślisz? To nie tak trudno. Zaje mi się, że byłym kapitalnym renterem... Stowo dżę! Pojechalnym na rok do Hiszpanji. Co oni tam mają za obrazy! Rok, dwóch laty nie starzyto! Jeden Velasquez w Museum madryckim, to nie bagatka... A pół niej Hollandja... Prawda, uelie to nie interesuje... Stulabnym dobrej nuryt.

Zresztą będą kolekcjonować, zbierać np. pudełka od zapatek (po chwiei, banda ungarow) dla czego mam prawo, dla kogo mam prawo... teraz.

v. Landen: Ciępliwością, ciepłiwosici, czas wszystko ulewy!

Kostnewski: Z każdym dniem, z każdym godziną mi gony, należy z testu-  
sy. Na jedną chwilę go robawici, na jedną jedyną chwilę, gtoś jego  
ustypoci, + J. dotknęci się jego miękkih uimnych wtorow... Nigdy  
więcej... I ona, ta żona nasza, która imnie mi mówi o nim, ta  
chamka, którą ja w nalenistwie swoim poslubitem, bo była matką  
mezo zyna... Zpadła, ta, ta, i jego niema, ona została.

v. Landen: A panna Anna?

Kostnewski: (~~niechętnie~~): Cóż ten list od Sankra. Pokaż go  
[Landen wyjmując z pugilaresu list i podaje go Kostnewskiemu. Ten czyta]

v. Landen: Prawda, że pisme zabawnie z "Jestem niewolnikiem brzozy  
bawetmanej?" Nie dziwiz mu się zresztą, że do nas przejci nie chce.  
Tam ma do wyboru dyk towarzystw, ile mu się podoba. A u nas  
jest zwiazany, wobec tego, że mamy monopol.

Kostnewski: Już go nie mamy.

v. Landen: No ta jedna obca fabryka w Rosji, to się nie liczy, cho-  
ciaż <sup>to</sup> ~~to~~ prawda, pod Swordiewa przez nią stoi

Kostnewski: Musina ją było zgnieci, jak mude, ale nasi akcyonarzume  
wola syndykaty tworzyć niż walczyć. Ale mniejsza o to. Czy wien, co  
te kramarskie duse zrobity? Sprzedały plany do Włoch i Japonji.  
Włosztni ci francuzi ogie im się trzęsa, na widok każdego sou. I  
ambicje ich! Szły ambicji zostać merem <sup>w</sup> swojej usi i nosić <sup>wony</sup> ~~ceremonij~~  
gatganek w butonierce. Uważasz, mieć monopol, mieć dyktować ceny  
na rynku wszechświatowym i sprzedai to wszystko za gotówkę. Jed, lek...

v. Landen: No a co będzie z dyrektorem? Trzeba nam dwóch, kiedy odejdzie  
 jeden stanowisko, jednego tutaj drugiego do Popowki.

Kostnewski (patnąc na zegarek): Hm! nie warto się brać do planów  
 wodociągu, kiedy ci panowie zaraz nadejdą. Karateś Krawcowowi  
 przysłał listy.

v. Landen: Tak, naturalnie!

Kostnewski: Właściwie jestem zadowolony, że Lünter odmawia. Skony  
 wstydności lat... Nie, nie zrobimy po amerykańsku, weźmiemy  
 młodego dzielnego chłopca... Niech się zdiera, niech duszę dołoży  
 do fabrykacji ~~...~~, jak powiedziała ironicznie swoja żona. Tak, tak,  
 do wszystkiego potrzeba żywej duszy ludzkiej [Wskazując przez okno] Sama  
 skwi już w tych murach.

v. Landen: Tenne się wuj na witał... A co do tegoż inżyniera

Wo nehmen wird nicht stehen? Może kogoś z fabryk ugraniczonych?

Kostnewski: Dość prób tego wdrażu. Żeby mi uciekł w przeddzień  
 strajku, jak Bisier, lub kłócił się po pijanemu, jak Went-  
 worth. Nie mój drugi, tylko wszyscy poddany.

v. Landen: Trudno będzie.

Kostnewski: Komu to mówisz. Dawno wiem, że w Rosji tak się o  
 bohatera niż o porządne stwora fabrycznego, a wó dopiero dyrektor!  
 Od kiedy były Ponomarew.

v. Landen: Nie chce zostać. Robotnicy zgadli, żeby oddać inżynierów  
 i majstrów, którzy pracowali ~~...~~ podczas strajku. Więc  
 obrażony.

Kostnewski: A propos inżynierów. Jakos spominają się panowie.  
 Już 4 1/2.

v. Landen: Nie mam niemi, po w chcen mówić z nimi, kiedy jesteś  
wdecydowany zamknąć fabrykę w razie strajku. Zresztą ja zawsze  
obrywam się bez ich rady

Kortnewski: ile robisz. Niech im się wydaje, że wpływają na twoją  
decyzję. Robi to dobre wrażenie, a nic nie kosztuje.

v. Landen: Nie optam się tylko czasu marnować na takiej drobnostki...  
(po chwili): Ponomasowa rkhoda.

Kortnewski: Wielka rkhoda nawet. Dlaczego tamat strajk? Jako swoje  
lista...

v. Landen: Zaręczył mi w liście, że strajku nie będzie, bo uszko pitem  
czegoś w robotnikom. Później był, mieliśmy obstrukcję, zresztą nie  
znam motywów dokładnie.

Kortnewski: Nie przyjeżdżaliśmy jeszcze jego dygnisji, może zostanie,  
postaram się nakłonić go do zostania [Pukanie] A otór i oni.  
nawetnie. Proszę.

[Wchodzi Ponomasow, Wentworth, Landau, Kropuszniki. Kortnewski  
wstaje, podaje rękę, witają się]

Kortnewski (siadając): Proszę mieć panowie siadają [wzruszy się] A pan Krow-  
cow?

v. Landen: Obiecał przyjść. Mówimy zarząd i bez niego.

Kortnewski: Tembardziej, że nie mam powodu mu być bardzo wdzięczny,  
a ja właśnie w imieniu zarządu chcę podziękować panom za dzielne  
spełnienie ich obowiązku. Towarzystwo jest panom dużo winne nie-  
tylko bezpośrednio, ale i pośrednio, gdyż przykładał wasze wpływy nie-  
zaudnie na robotników i innych uszudników i zachęcał ich do gorliwej  
pracy. Wiecie panowie zapewne, że robotnicy są dają uszudnia ich z fabryki

Oczywiście że rządzeniu temu radość się <sup>nie</sup> stanie, gdyby jednak reszta potrzebowała zmian, to przypuszczam że rządzen i panów nie odmówiłby chyba objęcia posady w fabryce naszej Popowce.

Lauden (do Wentwortha): Przygotował się z hen.

Wentworth: Naturalnie, mówi jak książka.

Lauden: Kiepska

Ponomerow: Sam wybieray, ale ja ani tu ani w Popowce pracować nie mogę. Pan v. Lauden ma moja dymisję.

Kostnewski: Pomówimy później o tem. Czy na resztę panów możemy liczyć na wypadek translokacji do Popowki.

Wryscy: Tak.

Kostnewski: W takim razie przejdziemy do kwestji strajku. Panowie nie-  
daj zapewne, że była chwila wybuchnie u nas bezrobocie dziś, jesto  
może. Co nam według panów wynikać należy?

Wentworth: Rozważyć zdania robotników, usiłowo je uspokoić?  
Wąże mi się, że sprowadzenie Kozaków było błędem.

v. Lauden: Nie prosilibyśmy pana o uwagi, w do naszego postępowania.

Kostnewski: Wobec tego, że trudno poprawiać ras popełnione błędy, ~~wygodnie~~  
nie będziemy tutaj mówić o Kozakach. Co do do uwzględnienia nawet  
częściowego zdania robotników, to obawiam się, że jest to zupełnie  
niemożliwem.

Ponomerow: Dlaczego?

[wchodzi Krawcow, stoi chwilę, wreszcie widząc, że nikt  
nie zaprasza, ani wogóle na niego uwagi nie wraca, siada sam  
na wiku Kresty]

Kostnewski: Z dwóch powodów: Primo przed skema miesiącami zrobiliśmy

im dość znaczne ustępstwa. Obecnie niema żadnego <sup>przynajmniej</sup> powodu ekonomizacji do nowych zadań.

Ponomarew: Milionerami nie są.

Kortnewski: Mąjs się lepiej niż gdzieś indziej. A reszta... Można im było dać więcej za pierwszym razem, więcej nawet niż sami żądali. Nie jestem uwolnionikiem zbyt wysokich dywidend, ale ustąpić teraz znaczy narazić się na niestanne strajki.

Kropiwnicki: drugi powód?

Kortnewski: Znajdą panowie w <sup>wykazie</sup> liście fabrykacyjnym naszego towarzystwa Koszta produkcji są największe w Rosji, a jakości fabrykatu... [mała reka j wyjmując listę <sup>wypisy</sup> z białej kieszonki i rozdaje]

v. Landen [wyrzucając mu z ręki]: Stawego przedtem nie mówites? Daj!

Kortnewski: Nie możemy więc podnosić jeszcze płacy robotnika.

v. Landen: [Przełóżając listę]: Naturalnie! Stano fabryki na ostatnim miejscu.

Kortnewski: Niepotrzebnie się pan tak wzmusza, panie v. Landen. Przy mieszankach kiepskim materiale ludzkim i ciągłych kradzieżach, niczego innego spodziewać się nie można było. Cy skrócenie dnia wbozego wpłynęło na koszta produkcji.

v. Landen: Nie wiem <sup>jestem</sup>. Jedno miż tylko pociessa, że w Popowie jest o tyle gócej, niż u nas. Znasz tego Wilié'go z Hoben.

Kortnewski: Tak, kiedy prarowatem w głównym zarządzie, miał <sup>małjs</sup> wykupywania patentów, ale Jouner raz mu porządnie zmzył głowę, i obecnie Hoben jest naszą najlepszą fabryką.

v. Landen: Musi być bardzo radowo bony. <sup>(z wyjątkiem)</sup> Panowie mówią jeszcze o ustąpieniu robotnikom.



Landaun: A więc powiadacie im, panowie, że temu nie podlegacie i porzekajcie, że wróca do pracy. Nic innego zrobić nie można.

Kortnewski: Owszem, można zamknąć, nie, trzeba zamknąć fabrykę, zrobić paszporty i przyjmować następnie robotników na warunkach z przed pierwszego strajku.

Ponomarew: Pan tego nie zrobi.

Kortnewski: Zrobię to. Muszę bronić interesów powierzonych mi fabryk!

Ponomarew: Pan dobrze wie, że strajk jest natury politycznej!

Kortnewski: Nie, co z tego, nie mię to nie obchodzi.

Landaun [z ironią]: Pan Kortnewski jest zwolennikiem samoderżawia.

Kortnewski: Nie, proszę pana, tylko nie rób się operacji na zgangrenowanym łupie. Ofiary na obalenie samoderżawia! Po co, kiedy rząd konstytucyjny nie wstydzi się absolutnie na zmniejszenie się nadużyć urzędników i nędzy kraju.

Landaun [ironicznie]: Inicjate stwierdzenie!

Krawcow [ironicznie]: Albo ziemcy nie kradną! To najwięksi podlegcy pod stonem. Jedno samoderżawie, jako przywrócone...

Kortnewski [jednocześnie, odpowiadając Landaunowi]: Oparto na obserwacji. W konstytucyjnej Hiszpanji kradną nie mniej dotkliwie i wprawnie, jak w autokratycznej Rosji.

Ponomarew [z gniewem]: Nie pozwalam panu porównywać młodości i silnej Rosji z zurytą, upadającą Hiszpanją.

Kortnewski: Bardzo mi przykro, że muszę obracać uwagę państwa, ale lud hiszpański upatnił mi się o wiele żywością i energiczniejszym od ludu rosyjskiego.

Ponomarew [blednąc]: Naprawdę, naprawdę.

Kostnewski: Przepraszam pana. Nie znam ludzi w guberniach północnych i centralnych, może tam... Więc jak panowie się zapatrują <sup>na</sup> ~~na~~ mój projekt.

Wentworth: Czy pan się nie obawia jakich represji ze strony robotników.

v. Landen: Nie sprowadziliśmy koczaków tylko dla osoby swojskiej. A najniepokojniejszych wysłaliśmy za pomocą ziemskiego do miejsca zamieszkania.

Kropuwnicki: A gdybyśmy byli przeciwni temu projektowi?

Kostnewski: Niech nam panowie przedstawią argumenty... rozważymy je.

Landen: Ale rozsądne, bo inaczej szkoda czasu. A jeśli idzie o sensywności, to proszę o oszczędzenie nam tyrań na temat nieuczestliwej doli robotników.

Kostnewski: Landen!

Landen: <sup>zupewnie</sup> Liberalne samoderżawie, Duma Putyginowska. Dziś się ludności gadać, a później robi się według własnego uznania.

Kostnewski: Bogu dzięki! w fabrykach jeszcze niema konstytucji, inaczej trzeba by zwinąć interes. A więc postanowiliśmy zamknąć fabrykę....

Landen: Pan postanowił.

Kostnewski: dobre, więc postanowitem zamknąć fabrykę... Nie zabymy panów Sturij.

[Wszyscy wstają, razynają się żegnać]

Landen [do Wentworth'a]: Szary komediant.

Wentworth: Wiadome mery! Pies jakich mać. Adigra on się piersi!

Landen: Wobz Landena, chociaż to brutalna sztuka, ale ten wółki, gładki kot... Br....

Kostnewski [do Ponomarowa, który chce się żegnać]: Pomówimy jeszcze z sobą,

29  
panie Ponomarow!

[Ponomarow kłania się i zatrzymuje przy swoim kneście]

v. Landen: Żona, które przypomnieć panom wieczór dzisiejszy.

Kropuwnicki: Nie omienkamy się stawiać. [wychodzi].

Kostnewski: Co to? Ach prawda, ta kolacja. O której?

v. Landen: Mamy dużo czasu przed sobą.

Ponomarow: Muszę przeprosić pana v. Landen, że dziś wieczorem u niego na kolacji być nie mogę. Jadę jutro rano o piątej, a jeszcze nie jestem zapakowany.

Kostnewski: Tak nagle... Może po rozmowie ze mną zdecyduje się pan zostać u nas.

[Anna wchodzi].

v. Landen: Panna Anna, tu!

Anna: Czy przeszkadam panom?

Kostnewski: Jestem teraz zajęty, Aniu! Przyjdź później.

Anna: Nie mogę sturzej czekać... Już przy obiedzie chciałam mówić z ojcem i nie śmiałam i ile żobitałam, ile i głupio. To tylko na chwilkę, papo, trzy słowa. Ten pan powieka, nieprawda?

Ponomarow: Nie, proszę pani, ja również czekać nie mogę, mam jeszcze dużo dziś do ratowania.

Anna: [hnywiąc usta]: W takim razie, w takim razie...

Kostnewski: Hei, Aniu, biuro jest do ratowania spraw fabrycznych.

Anna: Kiedy to jest sprawa fabryczna, bardzo, bardzo ważna sprawa.

Kostnewski: No to powieka, aś zbiorę z panem Ponomarowem.

Anna [patząc się na Ponomarowa, nieśmiało]: Czy mogę zostać?

Ponomarow: Pani mi nie przeszkadza.

Anna: Pójź do okna z panem v. Lunden. Napewno, napewno nie będę  
nie styssata... Niech się pan nie gniewa. Na drzwi denn pada, a na  
korytarzu tyle ludzi się tłoczy. Przepraszam bardzo.

Ponomarow: O niema za co. [do Kostrewskiego]: Jestem do usług pańskich.  
[Anna podchodzi do okna, za nią v. Lunden, rozmawiają]

Kostrewski: A więc pan nas opuszcza?

Ponomarow: Oczywiście [z naciskiem] Muszę odejść!

Kostrewski: Nie widzę musu. Zależy, nierównie zależy, że pan wdey-  
dwet się nas <sup>zakończy</sup> pozowie. Mielis'ny zamiar w najbliższej przyszłości ofia-  
rować panu posadę Dyrektora.

Ponomarow [śmiejąc się ironicznie]: Pokusa! Dyrektor, toś to spieczę  
swoich robotników.

Kostrewski: A Dyrektor generalny spieczę swoich Dyrektorów. Berus'kie  
nia. Ale może raczej pan przedstawić swoje warunki.

Ponomarow: Nie chce, nie chce, nie chce, ani tu, ani w Popowce,  
dożył mam tego wszystkiego.

Kostrewski: Powody?

Ponomarow: by to nie dożył, że robotnicy są dają mego oddalenia.

Kostrewski: A zapomniatem, pan jest socjalistą.

Ponomarow: Nie jestem, nie byłem i nie będę. Myslalem, że tylko  
Krawcow podobne brednie powtóra.

Kostrewski: Dlatego więc pan robotników za niewdzięcznych uważa.

Ponomarow: Oni, niewdzięczni! Iła mnie? [śmiejąc się ironicznie] Nie  
chcę mieć więcej z nimi do czynienia. Dzioś mię przepraszac' przysli...  
Inwi im przed nosem zamknętem. Nie chce mówić z nimi...  
Wszystko, co mogłem, dla nich robotem, unytko. że wszystko się skończy.

się, żeby szkoła była dobra, biblioteka bogata, orkiestra dobrana! Był ja  
 wiem zresztą! Nocy nie dosypiałem, do dziś dnia mam długie, karły gwałt  
 im oddawaniem. Dwa lata temu, kiedy był na urlopie, użyłem się  
 odpowiedzialności, żeby im przy prowadzeniu ogniwko w pomagać. Tenże  
 podnos ostatniego strajku... I po tylu latach wspólnej pracy, zszedł  
 mego oddalenia, dlatego że niżej obowiązek spełniłem. Rozumie pan,  
 tylko dlatego. Pod wpływem jednego przybłądy stolicznego, jednego wygi  
 z wypanoną głową, który im wszystkim w głowie poprowadził!

Kostnewski: A więc jest agitator!

Ponomarow: Ja nic nie powiedziałem.

Kostnewski: Może, ale ja jednak zarządzam tajnej poliji z miasta powiat  
 łowego.

Ponomarow: Pan nie zrobi z tego użytku.

[Kostnewski wrusza ramionami]

Ponomarow: Zresztą, nic i tak będzie, zszedł ostrzedz, nim kłopotów  
 nadjedzie.

Kostnewski: Ma pan bezwarunkowo was na to.

Ponomarow: Nigdybym się tego, po panu nie spodziewał... To nie  
 do uwierzenia, to...

Anna: <sup>Papa</sup> ~~Ojciec~~ żartuje tylko. Czy pan naprawdę sądzi, że mój ojciec  
 posile po npićle. Zabawne! Nieprawda, że ojciec się nawet nie obronił,  
 i ja także nie, to zbyt dziecinne. A także prosi przesłannic ojca  
 o rozmowę, więc żadnej niedyskrecji mi było.

Ponomarow: Dziękuję, pani!

Anna: Był ojciec będzie z nim mówić, prosi bardzo i ja także prosi  
 Był jini dziś o Arcieję u państwa v. Landen, ab ojcice natarałnie

go nie przyjął. Zapomniałam uprzedzić, to jest nie zapomniałam, a tak...

Kortnewski: Jak on wygląda?

Anna: Takto?

Kortnewski: No, jak wygląda?

Anna [namyśla się, z uśmiechem]: Prawie, że nie wiem, <sup>co</sup> jak mam powiedzieć, jak robotnik naturalnie

Kortnewski: Nie o to widać. Stary, młody, wysoki, niski?

Anna: Młody? Tak. Wysoki? nie wiem, siedział. Włosy jasne i oczy, widać się, takie.

Kortnewski [do ~~Anna~~ denera]: (to nie on.)

v. Landen: Naturalnie, samten bezwarunkowo był robotnikiem

Kortnewski: Dobrze, przyjmij go. Czy jest już za świątami?

Anna: Nie, już biegnę po niego. Do widzenia [wybiega].

Ponomarow: Żegnaj panów, was na mnie.

Kortnewski [ścisnął mu rękę]: Szyby pan zmienił postanowienie, niech mi pan o tem uwiadomi, bo chociaż zasady naszą jest nie przyjmować ~~niepotrzebnie~~ po raz drugi urzędników, którzy nas opuścili, w tym wypadku zrobisz wyjątek.

Ponomarow: Nie skorzystam z uprzejmości pana. Do widzenia

v. Landen: Sreśliwej drogi!

[Ponomarow wychodzi]

Kortnewski: A ba, tak czy inaczej mamy planować! Landen miły drogi, wybacz, jeśli cię skubnie będzie, ale nasz musi zostać między nami. Pójdziesz natychmiast do oficera Kozackiego, niech wstawi ludzi pod oknem i w korytarzu. Niech <sup>będzie ostrzeżeni</sup> ~~dekuracy~~, wchodząc, żeby go nie spotkali.

v. Landen: Chcesz go aresztować, ale to niemożliwe.

Kostreuski: A to czemu?

v. Landen: Robotnicy straszą zaufanie

Kostnewski: A to czemu?

V. Landen  
Kostnewski: Robotnicy stracą zaufanie do nas i w ogóle... Skończy mi się o uszy, że według centralnego komitetu rewolucyjnego za wydanie Delegata grozi kara śmierci.

Kostnewski: <sup>(wzruszenie)</sup> Komitetu rewolucyjnego, doprawdy! Zrezygnuj przychodzi na własne ryzyko, nie jako delegat.

V. Landen: Nie wiem nic o tem.

Kostnewski: Gdyby jednak był delegatem, w wątpliw, przekonał oficera zaporowej dwudziestopięciuobłowski, że reszta omyłka i wypuścił go na wolność.

V. Landen: Panna Anna?

Kostnewski: Dziś na swoją dyskreję, to acentowanie było przypadkowym.

V. Landen: W każdym razie będzie miała wymuty sumienia.

Kostnewski: Wymuty sumienia! Nie ma nic przyjemniejszego, jak wymuty sumienia, zabarzone lekkim odzieniem heroizmu, romantyzmu, socjalizmu...

V. Landen: Jesteś ty na pannę Annę.

Kostnewski: Zapewne. Popsuta mi doskonała kombinacja. Ta wola naganiana zwierny nie jest mi przyjemna, a tak się doskonale układa. Jaki wyrostko, gdyby nie ona.

V. Landen: Jaki?

Kostnewski: Ponomarew był serjo nastroszony, byłby ostrzegł naszego wiktora, a że ci panowie są zwykłe silnie schokiem podrywi. Nie wątpię, że zniknęły prędko, doładnie i zupełnie.

V. Landen: Mógłś mu grozić osobiscie.

Kostnewski: Też! Żeby mię zastrelit lub głowę młotkiem rozbić, jak



Haasemii. Nie, mój miły, wolał żeby on wsiadł, niż żeby miś taka przykrość spotkała. A przez Ponomarowa, doskonale. Już sam Ponomarow nie mógłby być zbyt wyrażonym, ze względu na własne bezpieczeństwo. Mówiłby ogólnie, a toby wystarczyło, nie naraził się miś na nic.

Postugan [wchodzi] Jakiś robotnik chce mówić z panem Dyrektorem.

Kostnewski: Niech poczeka. [Postugan wychodzi] Spier się, Landen, Czekaj, gdyby się wydało, że to nie był przypadek, przed Anis. Weinuen na własną odpowiedzialność... To nie ja zrobiłem, dołbe, przed Anis tylko.

v. Landen. All right! mozesz. bierze na mnie.

Kostnewski: Prześlij mi go. Drwonek, gdzie Drwonek?

v. Landen: Na biurku.

Kostnewski i wręca z Pugiern.

[Landen wychodzi]

Kostnewski szuka drwonka na biurku i stawia go przed sobą. Pukanie, chwila milczenia, znowu pukanie]

Kostnewski: Proszę wejść!

[Wchodzi drugi Kiermajony. Jest błądy śmiertelnie, staje koło drzwi]

Kostnewski: [zurawo]: Zdejmuje się napek, wchodzi do pokoju.

[Kiermajony zdejmuje napek, chwile trzyma ją w prawej ręce, po chwili myśle przekłada do lewej.]

Kostnewski: Proszę bliżej, niech pan siada

[Kiermajony postępuje parę kroków naprzód]

Kostnewski [wskazuje najdalej od biurka postawione krzesło]: Tam.

[Kiermajony zatrzymuje się przy wskazanym krześle, ale nie siada]

Kostnewski: Pan chciał mówić ze mną?

[Kiernejomy kiwa głową, że tak]

Kostnewski: O strach idzie, naturalnie. Pogadamy o tej sprawie, chociaż [machając ręką] Właściwie kwestja przesądzona. Ale w każdym razie, chętnie wystukam zdanie pana. Przez nich pan zamyna. [Kiernejomy milczy.] Mam mało czasu, biuro zaraz zamknięte. Niech pan się spieszy.

[Kiernejomy wsuwa rękę do brzonej kieszeni i postępuje krok naprzód]

Kostnewski [zrywając się z miejsca, krzywi]: Głai w miejscu, bo... [wyciąga rękę do drzwi]

[Kiernejomy [jednocześnie, wyjmując rewolwer]: Ja i stąd potrzebuję?

[Głel. Kostnewski pada na knie. W korytarzu hałas i szum nóg. Dwu wyrywają się z zawiasów, kilka Koraków z oficerem na czele wpada do pokoju.

[Kiernejomy [oduraczając się]: Ha pułapka!

[Głel znowu, oficer pada, koracy <sup>wiekijsz</sup> zwracają się do popłochu do korytarza. Kiernejomy, cofa się tyłem do drzwi, trzymając rewolwer w rękach ku drzwiom. Nagle z dwóch stron korytarza wbiegają v. Landen i Korak i nacierają się na Kiernejomego. Ten strzela, chybia, v. Landen i Korak <sup>dopadają go</sup> nacierają się na niego. Landen wyrywa mu rewolwer]

Korak [bijąc go po twarzy i głowie]: Chociaż nie<sup>z</sup>parto mi panienka pięć rubli data.

v. Landen: [Odrzucając go] Prez, bydle. [do innych] Zaprowadźcie go do arendu i pilnujcie dobrze. [kilka <sup>dwóch</sup> Koraków bierze Kiernejomego pod ramię i ciągnie ku drzwiom, tenci idzie za nimi]

v. Landen [Do Ponomarowa, który wręcił przed chwilą i zacił to co Kostnewskiego] Żyje?

Ponomarow: Nie wiem, daje się, że nie.

v. Landen [biąc w swan najbliższego kozaka] Po doktora, durniu!  
[Dochodzi do Kostnewskiego i nachyla się nad nim. Po chwili] Tu żaden  
doktor nie pomoże!

Ponomarow [wskazując jeńczego ofiara]: Dla tamtego.

[v. Landen z wolna podnosi ciało Kostnewskiego, uktada na fotelu,  
podkrymuje głowę]

v. Landen [gładząc ręką po rękach, bardzo miękko]: Ponomarow, mój  
drogi, idź do żony mojej. Niech przystąpi Kostnewskie, niech im powie  
ostawienie [presowa rękę po rękę]. Nie wuj się na zitał, jestem  
ostawiony, nie mogę.

Koniec aktu II.

Akt III

[Ciasny, ciemny pokój szpitalny, dość czysto utrzymany. Z lewej strony widać leży na łóżku monter Haase, z ~~lewej~~ <sup>prawej</sup> Fielding, który tego ostatniego siedzi na krześle Postugau w białym kitlu i Imencie. Fielding leży na wznak z zamkniętymi oczyma]

Fielding: [nie otwierając oczu i nie ruszając się wcale].

Simeon [głośniej] Simeon!

Postugau [budząc się]:

Co, proszę pana?

Fielding: Mów, wie miloś.

Postugau: Felcerka zakazała.

Fielding [otwierając oczy i odgrywając się trochę]: Simeon, Simeon stary.

Postugau: Co nie mam słyszeć, stary.

Fielding: Idź do żony mojej, niech buty moje przełoży. Ile par mi się zostało, tyle lat jeszcze żyć będę.

Postugau: A bo to prawda!

Fielding: Prawda, prawda!

Postugau: Nie pójdziesz, felcerka się gniewać będzie.

Fielding: To nie, kiedy indziej [po chwili] Jak ci się widać: Długo jeszcze

poizgnę? Co Doktor żonie powie dział?

Postugan: Co on wie? Wszystko od woli Boskiej.

Fielding: Simeon!

Postugan: Czego pan chce.

Fielding: Życi chce, rozumiesz, życi chce.

Postugan: Wiadome mamy, każdy życi chce. Niejednemu już i Anny obstarlowali, a ony jeszcze przyć chwał.

Fielding: Ale ja przecież tak choć nie jestem, nieprawda? To by było niesprawiedliwe, zupełnie niesprawiedliwe, jeżeli teraz umierał miał... Właśnie teraz... Cate żyć, prawda, jak pies, odpo-  
czynek mi się należy, a nie śmierć... Nieprawda?

(Drzwi w głębi się otwierają, wchodzi Kostkewska, za nią Bogdanowa)

Bogdanowa: Oto pan Fielding.

Kostkewska: Cierko choć, razem?

Bogdanowa: Wyjątkowo dziś... Rucano kamieniami w szpital, większość okien wybita... Nie było innej rady. Tu, od podwórka bezpieczniej.

Fielding: Tak, tak mato miś nie zabli. Koto two toika upadł kamień wielkości jabłka.

Postugan: Za dobre imi jabłom, za durs Sturrau mają na ze-  
brank, za stołko żyją. Jak się wygotują, to się uspokoją.

Bogdanowa: Niech panie to nie przesza. Robotnicy nesi są ludźmi spokojnymi, tylko względem naszego Doktora... Pani rozumie... Bogdanowa nowego prawa, Doktor jest ogromnie śladny przy przyjmowa-  
nianiu robotników, brakuje za lata drobnotkę.

Fielding: Precież kałek przyjmować nie będzie. On choć jest, Bóg wie, skąd sobie chorobę przytarczył, a ty go później karmić do samej

śmierci, bo pół roku u ciebie pracował.

Bogdanowa: No tak, ale to się robotnikom nie podobato, i usz-  
kili dziś kecy.

Kostkewska [stając w głowach Torka]: Pan się pewno przeżył bandro.

Fielding: Lincen, co to za kobieta?

Postugan: Tak nie można mówić. Sama wielmożna pani Dyrekto-  
rowa przysła.

Fielding [z radością, starając się ją zobaczyć]: Co, pani u Landen? Ra-  
cyta pani....

Kostkewska [prerywając i podchodząc bliżej]: Nie, Kostkewska [z ciekawości]

Fielding [rozczarowany]: A... Dobry wieczór, pani Dyktorowej...

Kostkewska: Dobry wieczór. Jak się pan czuje..

Fielding: Niema się o co pytać. Z góry na dół, na Feb. na syję.  
Czy pan Kostkowski mię także odwiedzi.

Kostkowski: Tak, nie wiem, bandro być może. [zdejmuje sobie sprawę z tego,  
co mówi]: Ale naturalnie, mój pan odwiedzi, mówił o tem nawet  
dziś... czy pan bardzo cierpi? I o żony pana się wybieramy.

Fielding: Bandro państwo na nas Taskawi.

Kostkewska: Dława stara przyjaźni. Przy tem ogromnie mi żal pani.

Fielding... czy pan bardzo cierpi.

Fielding: Nie, nie bandro.

Kostkewska [zdumiona]: Cóżwiek tak ciężko chory.

Fielding: [ze złością]: Nie jestem wcale, nie jestem wcale ciężko  
chory.

Kostkewska: Doktor przecież mówił. Pan prawdopodobnie bardzo  
ostabiony.

Fielding: Tak jestem ostabiony... Nie mogę mówić, będę nieuprzejmy, poproszę, żeby pani wizytę swoją odstąpiła. [Widzę, że Kostnewska nie ma się z miejsca, z westchnieniem]. Co panna Anna poradziła?  
Kostnewska: Nic dziwnego, że pan ostabiony... Naturalnie, pan robi sobie iluzję co do swego stanu.

Fielding: Linceon, czego ona chce odemnie.

Podgajana: Zaraz: ona. Nieładnie. Pyta wielmożna pani Dyrektorowa.

Fielding: Wielmożna pani Dyrektorowa [śmieje się, do Kostnewskiej]. Pamiętam Jozim, jakiego u Crayerów sturzysta? Przyjęła moja żona. Były jej wyścintas, a metom ci ztobówek w Taps wzuwał, kiedy mi palto podawata.

Kostnewska [z gniewem] Milla!

Fielding [śmieje się ze złości]: Wielmożna pani Dyrektorowa... Bo się Kostnewski ztapac dat... Nadt by parkem się swoim elito waw... Stupi, głupi, głupi... Z kanką się zenie... Nie on jeden był i dziecko niewiadomo czyje.

Kostnewska: Ktaniess, psie!

Bogdanowa: Tak nie można, proszę pani, do konych rozdzierania.

Kostnewska: Naturalnie, pani tu ma więcej do powiedzenia niż ja, naturalnie, mogę odejść, jeśli pani sobie tego życzy.

Bogdanowa: Ale ja pani Dyrektorowej obrazić nie chciałam, tylko pan Fielding już drugą noc nie spał i wogóle.

Kostnewska: Już odchodzę, już odchodzę.

[Wstaje i wolna kienije się do drzwi. Nagle monter zajmuje ją, Kostnewska zatrzymuje się chwilę, potem ucieka, jakby niewidzialna ręka popychana do Turka. Staje oparta o wysoką poręcz, kwang, zwrócona

ku wiotowni, i patry na <sup>chorego</sup> na widowni]

Kostkewska [szepcem] Kto to?

Bogdanowa: Monter Hase... Ten, którego robotnik młotem uderzył.  
Pani stygnęła pewno. Nieprzytomny.

Kostkewska: Języ.

Fielding [do postugara, szepcem] Posita?

Postugar: Tak.

Bogdanowa: Pani wybacz, mure pójdziemy obejrzeć salę operacyjną.

Kostkewska: Nie [wskazując na Hase'go] Umroł?

Bogdanowa: Mała nadzieja utrzymania go przy życiu.

Anna (wbiega): Lubię was wnetrze... Gdzie wasi towarzysze, powiedzcie  
premier, że ich tu... [spotykając Kostkewską] Mamo znowu!

Kostkewska: Cicho!

Anna (chwytając ją za ramię): Niech Mama wyjdzie stąd, niech Mama  
wyjdzie stąd.

Bogdanowa: Nie tak głośno!

Kostkewska: Jak śmiesz! matkę swoją jestem... Nie śmiej mówić  
tak do mnie, puść mnie, stygnij!

Anna (błagalnie): Mamo droga, chodźmy stąd dla mnie, dla Janka... Taki  
wstyd, taka hańba... Jakże smutna.

Kostkewska (błagalnie <sup>z łobosizją</sup>): Mamo droga Języ!

Anna (mówi z trudem): Chodźmy stąd, ja tego stuknąć nie mogę.

Kostkewska: Jaka hańba! Wyc co? Patrz się na nich... Niech wam,  
że i inni cierpią [Hase języ znowu] Stygnij... Dziej mi od tego na  
sercu, nie mnie jedną Pan Bóg skarał... I za co, za co, Matko  
Przenajświętsza!



Anna: Chci' przed ludzmi... Tu nas wszyscy znają [Kostnewska uśmiecha się] Niech się ~~stema~~ nie uśmiecha, bo ja mamę, bo ja mamę w twarz uderzę... ja

Kostnewska: Uder, uder, dawno wiem, jak ty matkę stanyjesz... córka od psa gorsza.

Anna: Chcielibym chciała to nie mogę, chcielibym chciała, to nie mogę Wszystkim ludziom zarzucić, że takiej matki nie mają.

Kostnewska: Matej v. Landen <sup>matki</sup> (zarzucić... znam cię, widziałam, jak ja w ręce catowatas' [przedzieńnia]: Pani Glibicko, Pani Glibicko.

Anna: Mogę mówić do kogo mi się podoba.

Kostnewska: Poniewieraj mnie, poniewieraj. Mnie, kanta lepsza... Naprawdę mąż, później córka... Wszystko mi zabrąta.

Anna: Jeśli Mama jest zarzuciła o pania v. Landen.

Kostnewska: On z nią o Janku mówi, rozumiesz, on z nią, a mnie milnieć kare... Matce wdłonej o dziecku mówić nie daje, a z obcy. O rany Pańskie! Jakże ja to zmieść mogę.

Anna [nachyla się nad nią, miękko]: Także Mama wie

Kostnewska: Tyszatan, pod Dwianii statam.

Anna [z gniewem]: Podstuchiwata Mama.

Kostnewska: A pewno! Muszę pilnować. Żebym ich była na jednem łóżku zobaczyła, mniejszy mię serce bolato. [AnnaIGNETA] Wein, wein po nowomodnemu, po pańsku, tylko ja w ręce catuje, przyjaciółka! A ślepiu mu się btysera.

Anna: Przysnęła mama sama, że niema powodu do zarzuci.

Kostnewska: Niechby ja miał, kiedy taka jego wola, niechby ja miał, a niech z nią o Janku nie mówi, bo ja im jeszcze kiedy

mysiej truciizny do jedzenia nasypisz...

Anna (stanowca): Pójdziemy stąd, natychmiast [ciągnie Kostnewską  
za ramię, do Bogdanowej]: Pomóście mi wyprowadzić matkę, to atak  
histeryczny.

[Wbiega pani v. Landen]

Pani v. Landen: [bardzo blada]: Przyjechałam powozem po panię.

Anna: Drżkujsz pani

Bogdanowa: Pani Kostnewskiej trzeba pomóc... Sama nie wyjdzie.  
Mnie postęgan...

Anna: Nie, nie...

Pani v. Landen: Panno Anno, musimy jechać natychmiast, na-  
tychmiast. Mierci nadchodzi, dręgi niepewne... Mąż stangret dobre  
pociemku nie widzi... Pani rusz się, natychmiast musimy jechać  
Konie czekaj.

Anna [nagle przerażona]: Co się stało?

Pani v. Landen: Nie, nie, zupełnie spokojnie... Niech się pani nie  
obawia [do Kostnewskiej] Uderzmy, prędo pani.

Kostnewska [nie odwarcając głowy]: Nie, zostaję

[Od tej chwili + aż do końca aktu Annię Kostnewską stoi nieruch-  
oma, uśmiechnięta i niecała na wszystko, co się dzieje wokoło  
niej. Tak nie spanna onów z twarzy montera, napawając się  
widokiem jego cierpienia]

Pani v. Landen: Jakto? (do Anny) Długoż Mama nie chce jechać...

Anna [wskazując na Torko]: To ją ratujemy, tak to... Konajsz y, chory,  
cięty się z ich widoku. Nie pierwszy raz, i w Petersburgu do-  
bita. Litajsz y z szpitala wyprowadzili, ja i ojciec... Ogidyby nie gnie-

wybyli z niej wyrywać mogła, z tą...

Pani v. Landen [kładąc jej rękę na ustach] Cicho, ani słowa. [z wyrzutem]

Panno Anno, na matkę, przed obcą!

Anno: [Łatując jej rękę] Nie jest pani obcą dla mnie nie, nie nikogo w życiu tak mi kochalam, nawet ojca, nawet Janka...

Niech pani mi rękę nie wyrywa, bo to prawda. Pani v. Landen, pani v. Landen, pani [z niewymowną autentycznością] Głęboko.

Pani v. Landen: Musimy stąd Mamanę wyprowadzić koniecznie. Prędzej, prędzej... Panno Anno, czy niema żadnej rady.

Anno: ~~Trzeba~~ <sup>Niech</sup> ~~pojecha~~ <sup>po ojca</sup> ~~po ojca~~ <sup>przyjść</sup>, ona się ojca boi, <sup>odejście</sup> ~~pojecha~~.

Pani v. Landen: Ojciec jest zmęczony, zajęty... nie wiem, może pani spróbuje... O mój Boże! [nagle rauczyna płatać, łatując

Anno] Panno Anno, panno Anno, ja nie mogę pani tu przygotować... Ale w domu, w moim pokoju... Panu nie

może tu zostać? Tutaj, każdej chwili tu będę. [do Bogdanowej]:  
Tępy pani kłoki na schodach.

Bogdanowa: Nie na schodach, przed gankiem.

Pani v. Landen. Niech pani zejdzie i ich weźmie... Niech czekają, przecież na górę teraz wejść nie można, pani pojmuje... Niech potęż na dole... głowę trzęs... Ale niech pani idzie, prędzej, prędzej

Bogdanowa: Nie wstydem.

Pani v. Landen: O śmierci i życiu idzie, niech <sup>ni</sup> pani idzie spieszny [Bogdanowa otwiera drzwi i staje w korytarzu, niepewna, w mawii. Na schodach wleżą się szereg ciężkich kłoci i książki]:

Orłowi nie, Jąbty. Przecież wszystko, przytór rękę Jegor, na prawo, na prawo... lewej, chony spiesz. Do Jąbta z chorymi... Słój, lewa noga,

wszystcy.

Na scenie milczenie. Pani v. Landen śiska rękę Anny

Anna: Coś niosą na schodach (po chwili) Kogo niosą na schodach?

(Pani v. Landen milczy)

Anna: Mój ojciec nie żyje! Tylko tak nie krzyżeli, gdyby był tylko ranny.

(Pani v. Landen milczy.)

Anna (krzycząc panią v. Landen): Kto go zabił, kto go zabił? Chęć wiedzieć, kto go zabił?

Pani v. Landen: Nie wiem, w biurze, urzędnik, z którym mówię. Panno Anno, panno Anno... Aniu!

Anna (usuwając się na bok i bijąc głową o podłogę): Nie, ja nie śmieję, ja zaraz wstanę i pójdę do domu... Zaraz, zaraz tylko chwile jeszcze. (Chwyta się za głowę i jęczy, kiwa się w tył i naprzód)

Wstanę, zaraz wstanę, pójdę, pójdę do domu, pani poszła, pójdę do domu, zaraz...

(W otwartych drzwiach ukazują się ludzie, niosący nosze... Wchodzi v. Landen)

v. Landen (do żony): Powiedziałaś?

Pani v. Landen: Nie mogłam inaczej.

v. Landen: Wody dla pani Kostnewskiej (Bogdanowa nalewa)

Anna: Nie trzeba wody, zaraz wstanę i pójdę do domu, jeszcze chwile tylko zaraz pójdę, pójdę do domu.

v. Landen: Lito przeklęty! Zrabienicy dla niego maty! Konie miłym go rozserwać karat. (wchodzi Ponomarow) A Ponomarow! Pomożesz żonie mojej odprowadzić panię Kostnewską do domu.

Ponomarow: Do usług, panie dyrektorze.



v. Landen: Chciałbym je jak najprędzej stąd wyprawić, żonę i dzieci moje też. Jak zamknę fabrykę, to się dopiero tu rozpoznamie.

Bogdanowa podaje Annie wodę

Anna (dzwoniąc). Pani v. Landen (prędko) Dzieci wysłamy. Ja czekaj.

v. Landen: Dobne, Głęboko!

Anna (dzwoniąc zsbarni o nktó skłanki): Teraz pójdę do domu, jeszcze chwilkę, zaraz wstanie i pójdę do domu ... zaraz, w tej chwili.

Ponomerow: Pan zamyka fabrykę?

v. Landen: Po tem co zostało! O ja im jeszcze pokazać tym Toboż, nich z głodu zdychają, nich zelazo żrą, jeśli Taska. Pokaż im różnicę między mną a Kostkewskim. Nich spróbują buncy fabrykę, robaczymy, kto seluepry.

Anna Pójdę, pójdę do domu ... Ja nie chce widzieć mego gnia, zaraz pójdę, tylko wstać muszę, zaraz pójdę.

Koniec

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

**Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.**

**Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.**

**All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.**